Rocznik I. Kraków, dnia 15. marca 1897. Nr. 5.

Prenumerata wynosi:
kwartalnie
w Austryi 1 złr.,
w Niemczech 2 m.,
(numer poczlowy 107 a, t. poln.)
w innych krajach 3 fr.

ŚWIATŁO
DWUTYGODNIK ILLUSTROWANY.
WYDANIE KRAKOWSKIE.
Wychodzi 1. i 15. każdego miesiąca.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Dr. Feliks Koneczny,
Kraków,
ulica Wolska 21.

Czy intelligencya może stanowić osobną warstwę społeczną?

Przed 25 mniej więcej laty uczono powszechnie w naszych szkołach na pamięć wiersza p. t. „Ballada, jakich wiele". Treść jego była taka: Chłopek ubogi wysilał się, żeby syna posyłać do szkół, żeby potem coś znaczył w świecie; zadłużył się, sprzedał ostatnią krowę, popadł w nędzę; syn tymczasem wyszedł na „pana", ale o ojca nie dbał, wstydził się rodzica w sukmanie i do rodzinnej wioski nawet nie zaglądał wcale. Aż raz wieczorem dziad kościelny wydzwania podzwonne; zbliża się panicz wytwornie odziany, nieznany, przybyły zdaleka, wszczyna rozmowę z dziadem i pyta, komu on też dzwoni, kto umarł w tej wiosce? Stary dzwonnik opowiada mu natenczas jego własną historyę i jego ojca, którego nazajutrz chować miano do grobu. Pan z dalekiej strony zaczyna rozpaczać, zdejmuje go gorzka skrucha; ale dziad na to: „Zapóźno, mój panie".

Wiersz ten godzien jest interpretacyi. Trudno przypuścić, żeby ów „pan", który przez tyle lat wstydził się ojca, tak nagle zapałał synowską miłością! Serca nie robią takich zwrotów ni stąd ni zowąd! Były zapewne jakieś osobne przyczyny, dla których zatęsknił za rodzinnem siołem. Nie chciał znać rodziców, bo byli „niskiego stanu"; celem jego życia było wspiąć się do stanów wyższych, zatrzeć ślady swego pochodzenia, które uważał za rodzaj grzechu pierworodnego. Zapytywany o ojca, mawiał zapewne, że był dzierżawcą lub urzędnikiem gdzieś na Ukrainie, a może nawet wolał uchodzić za nieprawe dziecko galicyjskiego hrabiego? Chcąc się wśrubować w „wyższe" towarzystwo, nie dbał o upokorzenia, wynikające tam nieuchronnie z braku majątku; pozwalał na siebie patrzeć z góry, byle usiąść z „panami" na szarym końcu; wysługiwał się chętnie, a gdy go tolerowano, aby wyzyskać jego pracę, uważał to już za dowód braterskiej życzliwości z ich strony; nikt go nie brał na seryo, skoro atoli był przydatny, utrzymywano z nim stosunki, o tyle jednak tylko, o ile tego ich interes wymagał; on wszakże cieszył się, że może obcować z wielmożami na stopie, którą uważał naiwnie za poufałą. Trwało to długie lata, zanim się spostrzegł, że nie zabierał z nim znajomości nikt, ktoby nie miał do niego interesu; lada chłystek, którego cała inteligencya ograniczała się na zręcznej grze w karty, miał przed nim pierwszeństwo wszędzie, gdzie nie interes ludzi zgromadzał; nawet takie osoby, o których oni sami wyrażali się pogardliwie, stawiano o kilka stopni wyżej od niego, ilekroć szeregi ustawiano według upodobań, a nie według chwilowej potrzeby. Po długich latach przejrzał, że nikt z tej warstwy „wyższej" ani myśli uważać go za równego. Podobno zakochał się w jakiejś księżniczce, ale zebrał już na tyle rozsądku, że się nie oświadczył. Chcąc zapewnić swemu domowi pańskie maniery — żeby przynajmniej coś ocalić — postanowił się wreszcie ożenić z totumfacką pewnej starej panny baronówny: lektorką, starszą garderobianą, czy czemś podobnem. Ale nawet ta go odepchnęła, żeby nie popełnić mezaliansu. Traf zrządził, że przy tej sposobności przyznał się do swego pochodzenia. Oto wśród „towarzystwa" wiedziano, że się urodził nisko; nie wiedziano tylko dokładniej, jak to było; chodziły różne domysły, niektórzy twierdzili, że był synem szewca. Nasz bohater zaś uważał stan chłopski za coś bardzo złego, ale o stanie szewskim miał jeszcze gorsze wyobrażenie; to już było dla niego najgłębszą otchłanią złego urodzenia! Otóż gdy totumfacka kręcąc noskiem, parsknęła mu w oczy śmiechem i powiedziała, patrząc z góry na adonisa: „Nie wyjdę za syna szewca"; on skonsternowany aż takim afrontem, osłupiawszy, pomylił się niejako i powiedział prawdę: mój ojciec jest przecież kmie-

ciem w Ogonowie. Wyznał prawdę nie przez szacunek dla chłopskiej sukmany, tylko przez pogardę dla szewskiej dratwy, ale bądźcobądź — faktem jest — że ją wyznał.

Po takich-to dopiero przejściach nasz panicz zatęsknił za rodzinną strzechą. Koniec końców bowiem człowiek bez serca obejść się nie może, (on zaś właściwie nie był zły, tylko kolosalnie głupi) i za sercem tęskni; to zaś znaleść można tylko między swoimi, bo kwiat uczucia wyrasta tylko na tle poczucia równości. Czasem (po większej części w bajeczkach) zdarzy się, że siła serca przełamuje zapory i wyrównuje nierówności; wszak cudy istnieją, ale też wiadomo, że liczyć na cud jest grzechem. Toteż serdeczności, przyjaźni, życzliwości osobistej, tej bezinteresownej sympatyi i tego szacunku, którego odczucie najbardziej podnosi godność człowieka, doszukać się można prawidłowo tylko pomiędzy równymi. A cóż innego, jeżeli nie to stanowi rosę życia i tworzy podstawę wszystkich jego przyjemności?

Za tem-to zatęsknił nasz panicz i dlatego wybrał się na wieś, do „ojców“. Czy się nie łudził, że nici zerwane dadzą się na nowo nawiązać? „Za późno, mój panie!“ — Może też lepiej, że we wsi już niema ojcowskiego domu, że to sioło już dla niego obce. Bo cóż on przynosił z sobą? Czy serce, czy żółć gnała go na wieś? Niósł z sobą gorycz zawodów, niechęć, żal, zawiść i nienawiść; chmurne czoło, zaciśniętą pięść, zmarszczone brwi; na ustach przekleństwo, a w duszy pustkę wynikłą ze zmarnowania życia. Zapewne lepiej, gdy go na wsi nie będzie; pod każdym względem dla niego już „zapóżno“; chyba, że zechce zadowolnić się rolą — malkontenta i działać ujemnie.

Takie nasuwa się bliższe objaśnienie do dawnego wiersza szkolnego, który mimowoli nasuwał się na myśl, ilekroć wypadło zastanowić się nad pytaniem: do której warstwy społecznej zaliczyć inteligencyę? Ów panicz nie należał do żadnej i znalazł się ostatecznie poza społeczeństwem.

Warstwy społeczne grupują się około interesów ekonomicznych, których bezpieczeństwa strzegą ścieśnianiem więzów rodowych pomiędzy swymi członkami. Gdyby nie rozmaitość interesów, nie byłoby warstw. Tradycya rodu ginie aż nazbyt łatwo; jest to ciężar, na który rzadko-kto zgodziłby się, gdyby mu tego nie osłodzić majątkiem. Arystokratyczne rody zubożałe, po dwóch pokoleniach przestają się liczyć do arystokracyi, a jeżeli same nie wyjdą z jej szeregów, bywają stamtąd poprostu wypraszane — podczas gdy lukę tę zapełnia się chętnie wnukiem parweniusza, (byle się wypolerował); ten bowiem nabywa owej wspólności interesów, którą tamten utracił.

Warstwy społeczne organizują się na tle życia towarzyskiego. Wspólne pożycie, zawieranie małżeństw, osobiste ustawiczne stykanie się, podobny tryb życia, podobne upodobania i jednakie mniej więcej potrzeby; to wszystko stanowi zewnętrzne kryteryum, do której kto należy warstwy. Kto wejdzie w nieswoją, czuje się skrępowanym i musi zadawać gwałt swej naturrze, jeżeli mu wypadnie dłużej tam popasać; mówi się zwykle o tem: „inna sfera“. Okoliczności zaś wytwarzające tę lub ową „sferę“, mają za sobą bardzo długą tradycyę, nie są przygodne, ani też dowolne; jest też rzeczą niezmiernie trudną wytworzyć je sztucznie koło siebie; opanować je i zastosować do swych potrzeb, nagiąć do swych wymagań, zdoła zazwyczaj tylko ten, kto wśród nich się wychował. Tem się tłómaczy, że urodzenie nie jest wcale sprawą nic nie znaczącą i że zawsze będzie pociągać za sobą pewne skutki. Tem się też tłómaczy, że nietylko rzeźnicy nie potrafiliby się zachować należycie na balu dworskim, ale też nawzajem wielki ochmistrz dworu nie potrafiłby jednej doby przebyć w domu rzeźnika w ten sposób, żeby nie być poznanym, że jest z „innej sfery“.

Intelligencya niema ani wspólnych interesów, którychby strzedz można było ścieśnianiem łączności rodowej, ani też nie posiada odrębnego typu życia towarzyskiego, a zatem nie jest odrębną warstwą społeczną.

Czy nią wogóle być może? To absurd niewykonalny! Lekarz pragnie, żeby nauka jego dzieci była tania, a profesor narzeka, że wizyta lekarska za droga; obaj strzegą się adwokata i notaryusza, ci zaś nawzajem wyrzekają na tamtych; wszyscy zaś razem patrzą zyzem na starostę, a starosta na nich z góry. Oto wspólność interesów intelligencyi! Jeden jest kamienicznikiem, a drugi lokatorem, ten chlebodawcą, tamten za zarobkiem ugania od rana do nocy; o jakiejś wspólności interesów ekonomicznych niema mowy.

Również niema ani śladu drugiego łącznika, który ludzi łączy w zwartą warstwę społeczną; nie tworzy intelligencya osobnej sfery towarzyskiej. Od poddasza, na którym dygoce się z zimna, aż do wytwornych salonów, wszędzie rozproszeni, nie mogą się „intelligentnicy“ skupić ani zbratać. Nawet ludzie tego samego zawodu oddaleni są od siebie w tak zw. wolnych zawodach bardziej, niż we wszelkich innych. Wielką jest różnica między podmajstrzym, który wykierował się jakoś na budowniczego, a zwykłym murarzem; ale o ileż większą pomiędzy lekarzem na prowincyi, który rad jest, gdy bierze po 30 centów od pacyentów, którzy mu

warstwą błota cechują krzywą i dziurawą podłogę w pracowni, a tym wielkim panem w stolicy, którego pokojówka lepiej się ubiera, niż żona tamtego? Tamten kontent, gdy wieczorem może zasiąść w brudnej knajpie miasteczka, żeby wypić trochę piwa i pośmiać się z grubych żartów stołowych towarzyszów, podczas gdy ten nie na każdy nawet bal pójdzie, unikając „mięszanego towarzystwa". Nie brak wśród intelligencyi ludzi pozbawionych zupełnie domowego wychowania, ludzi nieraz bardzo uczonych, którzy jednak nie potrafią się ruszać na gładkich posadzkach salonów i kładą ręce w kieszeń od fraka, bo nie umieją w nim chodzić; nie brak z drugiej strony ludzi, którzy właśnie we fraku czują się najswobodniejsi. Obyczaje ich przeróżne; od przesadnej wytworności, aż do przesadnego zaniedbania i ignorowania form towarzyskich; podobnież język ich mieści w sobie wszystkie skale, od rażącej dosadności podpitego gbura aż do sztucznie wydelikaconego szczebiotu sentymentalnej starej panny. Życie domowe, sposób prowadzenia domu, sposób siadania do stołu itp., wszystko to odznacza się wśród intelligencyi taką rozmaitością, że wystarczy powierzchowny rzut oka, ażeby poznać, że mamy tu do czynienia z ludźmi nie jednej sfery, ale wszystkich możliwych sfer. Nie wytworzyła intelligencya w żadnym kraju swego własnego odrębnego rodzaju życia towarzyskiego, nie wytworzy go też w Polsce!

Komu się trudno pogodzić z tą myślą, niech spróbuje urządzić u siebie wieczór tańcujący i sprosi nań następujących gości wraz z rodzinami: starostę z Krakowa i kolegę jego z zapadłej prowincyi; profesora medycyny i lekarza gminnego z jakiego t. z. „miasteczka", zwłaszcza ze wschodniej Galicyi; z drugiego miasteczka można zaprosić naczelnika sądu powiatowego, z trzeciego rejenta, z czwartego adwokata; dodać im do towarzystwa mecenasa, który jest pełnomocnikiem jakiego magnackiego rodu i sam już kupuje trzecią wieś, notaryusza ze Lwowa i którego z tych młodych prawników, o których wszyscy wiedzą z góry, że zrobią karyerę w ministerstwie, bo ona tam na nich czeka; do kompletu proszę dobrać dwóch profesorów gimnazyalnych: jednego zatabaczonego i drugiego pozującego na modnisia. Towarzystwo składać się będzie z ludzi równych sobie w teoryi jak najzupełniej, a więc zabawa powinna się udać, a zwłaszcza powinne być zadowolone panie, bezpieczne już najzupełniej, że nie weszły w mięszane towarzystwo! Jeżeli te panie zawiążą pomiędzy sobą jakiekolwiek towarzyskie stosunki, trzebaby się poddać; ale można być pewnym, że na tej zabawie i po niej byłoby więcej, niż po jakiejkolwiek innej, kwasów, uraz, a wreszcie także plotek — bo nikt nie czułby się w „swojej sferze".

Równy zasób intelligencyi nie równa bynajmniej ludzi pod względem społecznym. Właściciel korony z pałkami, przyjmując urząd, nie przestaje należeć do arystokracyi; syn garbarza, nabywszy kwalifikacyi do tego samego urzędu, a nawet piastując taki sam urząd, i tak nie będzie pod względem społecznym równy tamtemu koledze w urzędzie. Dotychczas przynajmniej nikt takiego zrównania jeszcze nie zobaczył.

Bajka o intelligencyi, jako osobnej warstwie społecznej, wyszła od tych, którzy niezadowoleni ze swego urodzenia, nie chcą być za nic w świecie cząstką tej warstwy, z której wyszli.

Rozpowszechnienie tej bajki ma skutki fatalne. Przedewszystkiem zwrócić należy uwagę na przykry fakt, że intelligencya bywa po większej części w życiu izolowaną, a chociaż nie sobkostwem się rządzi, żyć musi nie wesoło, sama sobie „sterem, żeglarzem, okrętem"; nie lgnie do nikogo i nikt do niej, usuwa się od ludzi, którzy nawzajem nigdy się z nią nie liczą, zamyka się w sobie, a podczas gdy koło niej tętni na wszystkie strony hałaśliwie życie, dla niej większa połowa objawów życiowych jest obcą i niedostępną. Rzadko kiedy zdarzy się, żeby „intelligentnik" (mówiąc po lwowsku), czuł pod sobą grunt społeczny i towarzyski; zazwyczaj świat jego składa się z własnego jego domu, w którym nuda i troska panują samowładnie. Straconym bywa dla bilansu społecznego, kto z intelligencyi nie rozporządza znaczniejszemi środkami materyalnemi; że zaś te właśnie należą u nich do rzadkości, a zatem w społecznem życiu intelligencya świeci zazwyczaj nieobecnością.

Na stu przedstawicieli t. z. wolnych zawodów bywa w naszych stosunkach przynajmniej ośmdziesięciu takich, którzy dochodząc do piątego krzyżyka, mówią sobie, że zmarnowało się im życie, bo zeszło zazwyczaj „niewiedzieć na czem". Jałowem musi być życie, któremu brak naturalnych podstaw, które nie wiąże i nie splata się korzeniami z życiem wielu innych, a w tem właśnie smutnem położeniu jest intelligencya nasza. Będzie to trwało dopóty, póki się nie pozbędzie przesądu, jakoby tworzyła odrębną warstwę społeczną.

Intelligencya jest u nas w tych czasach w znacznej części jakoby poza społeczeństwem. Obyż się to zmieniło! Przykład powinien wyjść od intelligencyi wyrosłej z pnia mieszczańskiego: niechaj się nie odrywa od tego pnia, niech się raczej stara być jego koroną.

STARY OBRAZ W KOŚCIELE MARYACKIM.

W XVI. wieku przebywał w Krakowie malarz niemiecki z Norymbergi, Hans Sues von Kulmbach. Pozostały po nim dwie serye obrazów. Jedna przedstawia legendarną historyę św. Katarzyny Aleksandryjskiej na ośmiu obrazach, mniej dostępnych dla oka publiczności, gdyż wprawionych w szafę skarbca kościoła N. M. Panny, zwykle zamkniętego. Druga serya zawiera pięć obrazów, które



Z obrazu Hansa Suessa von Kulmbach w kościele Maryackim w Krakowie.

zawsze oglądać można, a przedstawia legendarne dzieje św. Jana Ewangielisty. Cztery z tych obrazów wisi na ścianach jednej z bocznych kaplic kościoła św. Floryana na Kleparzu, piąty zaś w kaplicy Bonarów, oddzielonej bronzową kratą od północnej nawy Maryackiego kościoła.

Obrazy w kościele św. Floryana przedstawiają: Pierwszy wieczerzę Pańską, drugi męczeństwo w kotle, trzeci próbę trucizny, a czwarty św. Jana na wyspie Pathmos. Na piątym, w kaplicy Bonarów, przedstawioną jest scena, jak święty ewangelista zstępuje do grobu, w myśl średniowiecznej t. z. „legendy złotej“, która opowiada, że apostoł ten mając lat blisko sto, wskutek wizyi, która mu się

pokazała we śnie, zwołał w dzień świąteczny lud do swego kościoła, kazał sobie przed wielkim ołtarzem wykopać grób, a odprawiwszy nabożeństwo zstąpił wobec wszystkich do tego grobu. W samym środku obrazu wymalowany jest ołtarz z wielkim relikwijarzem; na kamiennych płytach klęczą



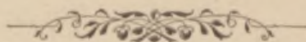
Z obrazu Hansa Suessa von Kulmbach w kościele Maryackim w Krakowie.

święty w stroju kapłańskim, a przed nim otwór grobowy. Za świętym stoi assysta; po prawej stronie obrazu stoi ksiądz, młody, o rysach łagodnych, który rzuca się naprzód i załamuje dłonie. Za ołtarzem stoi ministrant. Tę scenę środkową okalają z obu stron wierni; na lewo mężczyźni, w sukniach długich, zielonych, niebieskich i czerwonych z futrzanemi kołnierzami. Na prawo prześliczna grupa sześciu kobiet; w białych czepcach i sztywnych kwefach, w różnobarwnych chustach na głowie, w zasłonach

zakrywających znaczną część twarzy, w welonach przejrzystych spadających aż do stóp, w klejnotach i perłach, klęczą tu matki, żony, siostry i córy mieszczańskie. Uwagę zwracają przedewszystkiem trzy z nich, a to charakterem rysów, pięknością i wdziękiem. Jedna z wyrazem cierpienia w oczach, ale pełna spokoju i rezygnacyi, może wdowa, z rękoma założonemi przed sobą i z figurą występującą naprzód według mody z początku XVI. wieku; druga za nią młodsza, strojna i ponętna, z jakimś tajemniczym, zagadkowym uśmiechem, w wielkim wypchanym czepcu; i trzecia najmłodsza, naiwna, słodka i wdzięczna, ze spuszczonemi powiekami, w zielonym płaszczu pod białym kwefem.

Przestrzeń przed tą grupą od środka wypełnia dwóch klęczących mężczyzn; jeden w słomkowej sukmanie z niebieskim kołnierzem, a drugi w pięknej czerwonej draperyi, w czapce nasuniętej na tył głowy, złożył ręce do modlitwy. Pod samą wreszcie kolumną stoi ostatnia męska postać; ubrany niebiesko, ma suknię zatkniętą za pas i gestem wyraża zdziwienie.

Wszystkie te obrazy powstały w latach 1514—1516, a malowane są na deskach jodłowych, pokrytych cienką warstwą gipsu czy kredy; przez niedbalstwo następnych pokoleń ucierpiały wiele, zżółkły też i ściemniały. Pierwotnie przeznaczone były do t. z. szaf ołtarzowych, i były częściami skrzydeł ołtarzy, z których jeden był poświęcony św. Katarzynie, a drugi św. Janowi; ołtarze te mieściły się właśnie w kaplicy Bonarów. Jan Bonar, burgrabia, żupnik, wielkorządca krakowski, starosta ojcowski i rabsztyński, odnowił tę kaplicę w latach 1514 i 1516.



O DAWNEM PODDAŃSTWIE LUDU POLSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Z biegiem czasu dopiero stali się wszyscy szlachcice i właścicielami ziemi, już to dzięki dostatkom zebranym na wojnie, już to z łaski książęcej. — Już za Bolesława Krzywoustego wyłoniła się zasada, że wszelka ziemia, jeszcze nie zajęta przez osadników, ziemia bezpańska, jest własnością państwa, a zatem księciu przysługuje nieograniczony szafunek nią. Ziemi niezajętej przez nikogo, a więc oczywiście także nieuprawnej, było trzy razy więcej, niż zasiedlonej. Tem się tłumaczy, że monarcha mógł każdej chwili nadawać olbrzymie donacye; dar kilkunastu mil kwadratowych ziemi nie należał do wyjątków. Swoją drogą nie trzeba na to patrzeć ze stanowska dzisiejszych stosunków; ta ziemia jałowa, porośnięta borem lub zalana bagnami, była pustkowiem, które nie dawało żadnych dochodów; znacznemi wkładami trzeba dopiero było sprowadzić tam osadnika, a zacząć od gospodarstwa leśnego i wodnego, zanim się zwolna stopniowo doszło do rolnictwa. Wiadomo, że za postaw sukna można było kupić wielki obszar ziemi, a za książkę pięknie illustrowaną, np., za mszał lub kancyonał nabywało się przestrzenie, które dzisiaj nazwalibyśmy „kluczem“ dóbr ziemskich. Hojność ówczesnych monarchów względem swych żołnierzy, czyli szlachty, należy też interpretować z uwzględnieniem tego faktu, że ziemia nie miała z razu niemal żadnej wartości, tem bardziej, że niemal nigdy książę nie nadawał ziemi uprawnej.

Celem nadań było zabezpieczenie bytu osobom i rodzinom tych, którzy narażali swe życie dla pospolitego dobra w ustawicznych wojnach. Trudno na starość być żołnierzem; trzeba było mieć gdzieś głowę skłonić i własny dach nad głową, gdy już nie można było wędrować bezustannie za dworem książęcym. Były tedy owe donacye najczęściej pewnym rodzajem emerytury żołnierskiej, że użyjemy nowożytnego wyrażenia. Każdy dobry żołnierz-szlachcic mógł być pewny, że na starość dostanie kawał ziemi. Kto miał szczęścia więcej lub zasług, dostawał nieraz takie donacye w ciągu swej karyery wojskowej.

Nadaną sobie przez księcia ziemię osadzono niewolnikami, jeńcami pojmanemi na wojnie. Często książę do darowanej ziemi przydawał od razu takich niewolników. Ziemia nie miała zresztą zgoła żadnej wartości, gdy nie było rąk do jej uprawy.

W ten-to sposób powstała pierwsza warstwa niewolników rolnych, poddanych szlachcie.

Czem bardziej podnosiła się cywilizacya, czem większy był ogólny postęp stanu kraju, tem bardziej podnosiła się cena ziemi. Co niegdyś było darem problematycznej nieraz wartości, stało się potem cenną posiadłością, gdy z biegiem wieków własność ziemska stała się podstawą bogactwa i znaczenia.

Szlachcic nie trudnił się jednak sam gospodarstwem; aż do drugiej połowy XV wieku szlachcic

nie był bynajmniej rolnikiem, a dwa te pojęcia: ziemianina i żołnierza, pługa i miecza, skojarzyły się ostatecznie dopiero o wiek jeszcze później, dopiero w drugiej połowie wieku XVI.

Już w XII wieku spotykamy się w źródłach z wielmożami, których bogactwa zdają się polegać na posiadaniu olbrzymich obszarów ziemi (np. Ślązak Piotr Włast za Władysława II). Nie trzeba się jednak łudzić; bogactwa te nie z ziemi wyrosły, lecz raczej szły do ziemi, zebrane innym sposobem, np. przez łupy wojenne i obfity plon jeńca; dopiero, gdy się miało na tyle dostatków, żeby módz kupić i utrzymać liczne gromady niewolników, można było pomyśleć o gromadzeniu ziemi w swem ręku. Zapewne, nie ulega wątpliwości, że posiadanie ziemi było najlepszym sposobem zachowania bogactw i przekazania ich potomnym, ale sama ziemia źródłem bogactwa jeszcze być nie mogła; tem zaczynała się stawać dopiero w wieku XV.

Dwie warstwy: żołniersko-szlachecka i właściwa wieśniacza (powiedzmy: chłopska) oddalały się coraz bardziej od siebie pod względem społecznym. Szlachcic, choć ziemię po ojcu odziedziczył, rzadko kiedy bawił w domu, podczas gdy chłop ciągle domu pilnował. Szlachcic porastał w dostatki na książęcym dworze, podczas gdy chłop miał ciągle to samo. Szlachcic mógł nabyć wielkie obszary, podczas gdy chłop miał tyle, ile gospodarstwem własnem mógł obrobić. Miał wprawdzie chłop zupełne prawo kupić ziemi i kupić niewolnika; ale do takiego kupna trzeba było rzeczy niezmiernie naówczas rzadkiej: pieniędzy; na to mógł sobie pozwolić tylko wielki pan. Zwyczajny szlachcic nie kupował też niewolnika, tylko brał go na wojnie; a do tego nie miał sposobności chłop siedzący w domu. Nie przyśniło się nikomu wprowadzać przez ustawy jakąś różnicę stanów; ale sam tok wypadków, stosunki same przez się wytworzyły ją i wytworzyć musiały.

Niegdyś z dwóch rodzonych braci jeden pociągnął za księciem, a drugi pozostał w domowej pasiece, czy też na domowej roli. Tamten był energiczniejszy i śmielszy; nie zawahał się narażać na niewygody, na trudy, rany i śmierć czyhającą na każdym kroku, — a ten wolał siedzieć sobie wygodnie na swoim zagonie. Kto więcej podejmie trudu, ten zawsze w końcu będzie górą. Prawnuk domatora był tem samem, czem jego pradziad, a prawnuk przedsiębiorczego przodka stał się panem!

Niegdyś bartnik, bobrownik, czy rolnik nie znał innych sąsiadów, jak tylko sobie równych; odkąd powstała w narodzie warstwa wojskowa, coraz częściej spotykał się przy pracy z niewolnikiem, będącym własnością szlachcica. Niewolnik ten pracował na cudzem tak samo, jak tamten wolny na swojem; zrósłszy się z ziemią i otoczeniem, nie różnił się po jakimś czasie od wolnego rolnika ani mową, ani obyczajem, ani strojem. Czy może różnił się stanem kultury? Wieczyste domatorstwo nie podnosiło jednak kultury rodzimego polskiego chłopa, i pod tym tedy względem nie wyróżniał on się od niewolnego i nie był bliższym szlachcica, który nabierał z każdem pokoleniem coraz więcej poloru i wykształcenia,

Bywało też, że niewolnik miał się pod materyalnym względem lepiej, niż chłop wolny. W razie klęski bogaty pan ratował swych niewolników, bo przez to ratował przyszłość własnej fortuny; wolnemu nikt nie pomógł, bo nikt niemiał ani obowiązku, ani interesu. Toteż zubożały wolny chłop oddawał się nieraz sam dobrowolnie w niewolę, ażeby poprawić swą dolę. Szedł uprawiać cudzą rolę za umówionym czynszem rocznym (składanym w naturze), pewny, że odtąd nie zazna już biedy. Zrzekał się prawa swobody osobistej, t. j. prawa przesiedlania się i wolnego wyboru zajęcia i rodzaju pracy; ale to było dla niego rzeczą wcale nietrudną, on i tak nie zamierzał zmieniać miejsca pobytu, ani też chwytać się innego zawodu.

Wolni i niewolni wieśniacy, rozróżnieni ustawą, prawem krajowem i pochodzeniem, mieliby według teoryi stanowić jakby dwie warstwy przepaścią od siebie oddzielone, a mianowicie przepaścią niewoli; w praktyce jednak spływali coraz bardziej w jedną warstwę społeczną: chłopską. Natomiast powstawały coraz większe różnice tam, gdzie ich nie wymyśliła żadna teorya: pomiędzy chłopem, a szlachcicem.

Za Kazimierza Sprawiedliwego niewolni wieśniacy tworzyli już pokaźną część zaludnienia; za Władysława Łokietka szlachcic czuł się już czemś zupełnie odrębnem od wieśniaka, tak niewolnego, jakoteż wolnego. W państwie polskiem, które zrosło się na nowo, uznano też już ustawowo tę różnicę; nie był to wymysł, lecz tylko stwierdzenie stanu rzeczy, istniejącego od dawna; teorya poszła za praktyką i wcale jej jeszcze nie wyprzedzała.

Wojna trzynastoletnia za Kazimierza Jagiellończyka jest pod każdym względem epoką w historyi polskiej; stanowi ona też okres w rozwoju naszych stosunków społecznych.

Dzięki odzyskaniu ujścia Wisły zwiększyła się szybko wartość ziemi, a rolnictwo poczynało być coraz intratniejsze, aż wreszcie ku końcowi XVI wieku stało się najintratniejszym zawodem w Polsce.

Kraje zachodnie już od dłuższego czasu potrzebowały więcej zboża, niż go zdołały produko-

wać; toteż skupiały się w Gdańsku zagraniczne okręty, przypływające po pszeniczny ładunek. Było to zboże po większej części polskie, które kupcy pruscy skupywali w Toruniu. Zakon wprowadził potem monopol handlu zbożem; obniżyło to znacznie obroty handlowe, degradowało kupca do roli faktora, i utrudniało mu zawód różnemi szykanami, których nie brakowało bynajmniej ówczesnej „skarbowości“ krzyżackiej. Dla polskich kupców były to czasy najgorsze; trzeba było zbywać zboże w Toruniu po cenach narzuconych przez Krzyżaków, którzy mieli na celu tylko zysk skarbu Zakonnego, a nie ożywienie produkcyi i handlu w kraju. Toteż od drugiej ćwierci XV wieku nastaje zastój w polskim handlu zbożowym, a przez to ogólny upadek rolniczego zawodu.

W tem nagle w r. 1466 otwiera się toruńska rogatka, a polskie zboże może sobie płynąć bez przeszkód aż do samego Gdańska, kupcy mogą wejść w bezpośrednie stosunki z wielkiemi firmami zbożowemi nietylko północnej Hanzy, lecz także Anglii i Flandryi. Runęły wszystkie zapory, wytryska obficie nowe źródło bogactwa krajowego. Kto ma ziemi sporo i może ją uprawiać, ten zbogaci się niezawodnie! Wtedy to szlachta jęła się rolnictwa, podczas gdy dotychczas wcale się o nie nie troszczyła. Popyt zagraniczny na polskie zboże wzmagał się coraz bardziej, gdy w ciągu XVI wieku narody zachodnie odrywały u siebie coraz więcej rąk od rolnictwa, a ludność ich zajmowała się coraz bardziej przemysłem i handlem oceanicznym (po wielkich odkryciach geograficznych). Dążono więc w Polsce do tego, żeby jak najwięcej produkować zboża i rozwinięto pod tym względem gorączkową czynność; bo można powiedzieć bez przesady, że przy największej produkcyi podaż nie zaspakajała i tak ani połowy popytu.

Poświęcał się więc rolnictwu każdy, kto miał ziemię, ażeby zaprowadzeniem folwarcznego gospodarstwa wyzyskać to źródło dochodów, które w poprzednich pokoleniach leżało odłogiem. W narodzie, który odtąd pospiesznie się stawał coraz bardziej wyłącznie rolniczym, nie mógł mieć prawie żadnego znaczenia wewnętrzy handel zbożowy; każdy miał swego zboża podostatkiem. Większe miasta — podupadające — były coraz mniejszymi konsumentami, a ludność miast mniejszych zamieniała się również na rolników. Rolnictwo stało tedy tylko handlem zewnętrznym, wywozem zboża za granicę, do Bałtyku.

Była to bądźcobądź daleka droga; opłacała się też tylko przy większych transportach, a na te mógł się zdobyć tylko szlachcic, jako posiadający więcej ziemi. Chłop nie miał jej na tyle, żeby produkować większe zapasy na wywóz, dokupić zaś ziemi było niesposób, gdyż wartość jej zwiększała się nieproporcyonalnie szybko.

Te okoliczności utrwaliły przewagę szlachty nad ludem wiejskim i wiodły zwolna do wprowadzenia poddaństwa. Szlachcic bywał z razu chętnym kupcem na chłopskie zboże, ale jeszcze bardziej wolał, gdy chłop przeniósł się na jego folwark lub wszedł z nim w stosunki służebne; można było ofiarować dobre warunki, toteż lud garnął się na folwarki. Wiadomo, że od drugiej połowy XVI w, miasta zaczynają się wyludniać, a w XVII wyludniają się już nagle: znaczna bowiem część uboższej ludności miejskiej przenosi się na szlacheckie folwarki, gdzie każdą parę rąk witano z ochotą i zapewniano dostatnie stosunkowo utrzymanie, byle zaręczyć, że się gruntu nie opuści, nie obsiawszy go poprzednio; ludność ta z ochotą przystawała na podział plonów, lub też na odrabianie na „pańskiem“ w zamian za wyznaczony do swego użytku kawałek roli, który ją ocalał raz na zawsze od głodu.

W ten sposób powstała pierwsza warstwa ludności pańszczyźnianej, a powstała zupełnie dobrowolnie, nie przez ustawy, lecz jako naturalny wytwór współczesnych stosunków. Przyczyna tkwiła głównie w upadku miast, przez co mnóstwo ludzi zostawało bez chleba; a że równocześnie coraz łatwiej było o chleb na wsi, więc go tam poszli sobie zarobić; nie mając zaś roli własnej, zarabiali na cudzej, płacąc pańszczyzną za swe utrzymanie. Są-to całkiem proste objawy życia!

Warunki pierwotnej pańszczyzny były rozmaite; zależało to od okoliczności, czy w pewnym czasie i w pewnej okolicy bardziej szukał szlachcic robotnika rolnego, czy też bardziej kandydat na tego robotnika szukał szlachcica, któryby go najął i ocalił od głodowej śmierci. W pierwszym nawale popytu na robotnika były oczywiście warunki najlepsze, a potem gorsze i coraz gorsze w miarę tego, jak coraz więcej ludności bezrolnej pragnęło żyć z rolnictwa. Wieśniacy wolni tworzyli też coraz mniejszy procent wśród ludności rolniczej, coraz bardziej znikali i zanikali w tłumach wieśniaków niewolnych i pańszczyźnianych. Wiodło się też ekonomicznie coraz gorzej wolnemu chłopu; ubożał stale, bo nim nikt się nie opiekował, a sam za mało miał oświaty i zbyt nieliczną zresztą tworzył już warstwę, żeby skutecznie módz o sobie pomyśleć. Jeszcze z końcem XV wieku wiodło im się czasem wcale dobrze. Oto w konstytucyi sejmowej z r. 1496 skarży się szlachta nie bez zazdrości, że „niektórzy kmiecie, jakby żadnem prawem nie byli związani, rosną w pychę, w kosztowności się stroją i wydatki zbytkowne i inne rzeczy czynią, które stanowi ich najmniej przystoją“. Powiedziano tu wyraźnie: „niektórzy kmiecie“, a więc nie

wszyscy; ci tylko, którzy większe posiedli po przodkach dziedzictwo, i którym łatwiej było odsprzedać zboże kupcom do Gdańska. Wyrażenie zaś, „które stanowi ich najmniej przystoją“ jest już stwierdzeniem faktu, że kmiecie nawet wolni stanowili warstwę kulturnie niską, daleką niestety bardzo od cywilizacyjnego poziomu szlachty, a bliską niewolnego chłopa. W oczach szlachty uchodzili też wszyscy jednakowo za chłopstwo.

Powstała w końcu w świecie szlacheckim teorya (zawinił tu dużo humanizm), że chłop nie powinien być wolny. Szlachcie chodziło o to, żeby ręce zdatne do pracy rolnej przytwierdzić do roli, a środkiem do tego było ograniczanie a potem zniesienie wolności przesiedlania się. Gdy szlachta, dzięki politycznej apatyi mieszczaństwa, ujęła ster państwa w swe ręce już z końcem XV wieku, gdy w ciągu XVI w. ona stała się jedynym przedstawicielem sprawy publicznej w Polsce, nie dziw, że tę sprawę pomięszała ze swoją sprawą prywatną, a jedynowładztwa swego użyła ku zabezpieczeniu jak największych dochodów ze swych posiadłości. Ustawodawstwo szlacheckie nie zna też wolnego chłopa i resztki tej ludności zamienia w niewolną, już w r. 1496 — ale tylko w teoryi! O ile bowiem w poprzednim okresie teorya szła za praktyką i wcale jej nie wyprzedzała, o tyle obecnie działo się wprost przeciwnie. Teorya o niewoli ludu wiejskiego czyniła szybkie postępy i w r. 1573 była już zupełnie rozwinięta i gotowa, podczas gdy praktyka szła za nią w nader leniwym pochodzie i trzeba było jeszcze drugiego stulecia, zanim zdołano cały lud wiejski przypisać do gleby.

Oto koleje teoryi:

W r. 1496 postanowiono, że jeden z synów włościanina może opuścić wieś i iść na wolną służbę, na studya lub do rzemiosła; inni zaś bracia, a także synowie jedynacy, muszą pozostać u ojca na wsi. Syn włościański, opuszczający wieś, ma otrzymać od pana świadectwo wolnego odejścia, inaczej ma być uważany za zbiega, a zatem można go ścigać prawem i zmusić do powrotu. W r. 1503 obostrzono to o tyle, że odtąd syn włościański mógł obrać karyerę naukową tylko przed dwunastym rokiem życia. Konstytucya sejmowa z r. 1523 wspomina o aresztowaniu „wszystkich zbiegów, którzy się przesiedlili bez zezwolenia swych panów“; w r. 1543 nakazano wydawać zbiegów z żoną i dziećmi i wszystkiemi rzeczami, w razie zaś śmierci zbiega wydawać rzeczy z żoną i dziećmi. Można się jednak było wykupić, czy też być wykupionym. Kto dawszy u siebie schronienie zbiegłemu włościaninowi, (inny szlachcic, kapituła, klasztor lub miasto), zapłaciłby za niego dawnemu panu dziesięć grzywien, uwalniał go tem samem z dawnego poddaństwa. W r. 1543 orzeczono, że wykup wogóle jest niedopuszczalny, o ile dawny pan sam na to nie przystanie.

Wszystkie [1]) zakazy i kary za przechowywanie zbiegłych kmieci nie były jednak w stanie zapobiedz mu skutecznie, dopóki ten, który kmiecia przyjmował, mógł mu zapewnić korzystniejsze, niż przedtem, warunki, dopóki stosunek pana do poddanego mógł się opierać na dobrowolnej obustronnej umowie, która była uznaniem wolności osobistej kmiecia i która ciężary jego poddańcze ograniczała do skromnej i właściwej miary. To zasadnicze pojęcie stosunku poddańczego należało usunąć i w miejsce jego wprowadzić pojęcie poddaństwa z mocy ustawy publicznej, z pod której ani kmieć, ani pan nie mógł się wyłamać. Wyrazem tego poddaństwa najlepszym mogła być robocizna, nałożona wbrew umowom prawem publicznem, wszędzie i zawsze, pogarszająca położenie kmiecia wszędzie, tak dalece, że zmiana pana nie mogła mu już przynieść widocznej korzyści. Gdziekolwiek stanął, wszędzie musiał pracować na rzecz pana na mocy ustawy, a umowy prywatne przed tą robocizną nie mogły go zabezpieczyć.

Dyktował to interes panów i ustawodawstwo uznało ten interes, *commoditas*, i nałożyło obowiązek robocizny na kmieciów. Dokonały tego dwie konstytucye: toruńska z r. 1519 i bydgoska z r. 1520.

Pierwsza sformułowała rzecz w art. 1 jeszcze niejasno i nieśmiało. Rozróżniła ona trzy kategorye kmieci czyli włościan:

a) takich, którzy z tytułu posiadanego przez się gruntu pracują zwyczajowo kilka dni w tygodniu na gruncie pańskim;

b) takich, którzy pracują mniej jak jeden dzień w tygodniu;

c) takich, którzy poprzednio skupili obowiązek robocizny przez zamienienie go na czynsz pieniężny lub zbożowy, lub na jakiekolwiek inne świadczenie lub daninę.

Otóż konstytucya orzeka, że włościanin każdy obowiązany jest na rzecz pana do robocizny jednego dnia w tygodniu z każdego łanu, jaki posiada. Drugiej kategoryi włościan zwiększono więc znacznie robociznę, która na mocy dawnych umów wynosiła często nie więcej, jak cztery dni w roku i zbliżono kategoryę tę do pierwszej. Kategoryi trzeciej nie dotknięto jeszcze, i robiąc na jej rzecz wyjątek, zostawiono kmieci czynszowników przy czynszu.

Jednakże zaraz konstytucya z następnego roku powtarzając postanowienie o jednym dniu robocizny

---

[1]) Odtąd z rozprawy M. Bobrzyńskiego: „Karta z dziejów ludu wiejskiego w Polsce“. (Rocznik Akademii Umiejętności. Rok 1891/2).

na tydzień, ograniczyła ów wyjątek na rzecz czynszowników, tylko do czynszowników w dobrach królewskich i to tylko do takich, którzy osobnym przywilejem wykażą się, że w zamian za robociznę czynsz swój zwiększyli.

Stylizacya ta obu konstytucyj przedstawia pewną wątpliwość. Biorąc ją literalnie, trzeba ją odnosić tylko do tych czynszowników, którzy dawniej obowiązani byli do pewnej robocizny i skupili ją. Byli jednak u nas włościanie, którzy nigdy do żadnej robocizny nie byli obowiązani i tylko czynsz uiszczali. Czy się do nich wyjątek odnosi, czy w myśl konstytucyi z r. 1519 i 1520 zostali zobowiązani do robocizny jednego dnia, czy też nie? Tego tekst konstytucyi nie rozstrzyga.

Natomiast orzeka on wyraźnie, że robocizna z ustawy obowiązywać ma zarówno w dobrach szlacheckich, jak duchownych i królewskich, oczywiście, aby przenoszenie się włościan z jednych dóbr do drugich utrudnić.

Jeden dzień robocizny przymusowej w tygodniu nie mógł celu tego zapewne osięgnąć i zabezpieczyć, ale zdawać się mogło, że to był tylko początek, że za dniem jednym pójdą w ustawach późniejszych dwa, trzy i cztery.

Po tak śmiałym zapędzie ustawodawstwa, rzecz jednak urywa się nagle; napróżno szukamy dalszych ustaw, któreby zwiększały ciężary poddańcze włościan i uchylały wszelkie wyjątki na rzecz ich wolności osobistej. Kwestya wyjaśnia się jednak rychło. Obrano inną, skuteczniejszą drogę, która odrazu prowadziła do celu.

Ustawy, regulujące szczegółowo stosunek między kmieciem a panem, miały zawsze pewną niedogodność, bo skoro stosunek regulowany był prawem publicznem, to na straży tego prawa musiał stać sąd i do sądu tego mógł się nietylko pan, ale także włościanin odwołać. Prawo włościan wnoszenia skarg na swego pana istniało zaś w średnich wiekach i mimo różnych ograniczeń utrzymało się dotychczas. Włościanin, stawający przed sądem, był bardzo niewygodnym przeciwnikiem, bo nietylko tekst ustaw na swoją korzyść tłomaczył i rozszerzaniu ich na rzecz pana przeszkadzał, ale odwoływał się do dawniejszych lub świeższych kontraktów, zawartych z panem, a stwierdzonych wieczystymi przywilejami. Potrzeba było dowodzić, że te przywileje wskutek nowych konstytucyj sejmowych utraciły moc swoją i o ile, a kwestya była zawsze zawiłą. Procesy takie powstawały istotnie, a niektóre po tysiącznych przeszkodach szły ostatecznie przed forum samego króla.

Najkorzystniejsze wyjście dla panów polegało na tem, aby tę drogę przeciąć, ażeby poddanym odebrać prawo wnoszenia skargi na pana przed jakikolwiek sąd publiczny, ażeby jedynym i wyłącznym sądem dla włościanina uczynić sąd jego pana.

Zasadę tę przeprowadzają w specyalnym wypadku konstytucya z r. 1496 w art. 16 i konstytucya z r. 1501 w art. 16, zakazując mieszczanom, aby włościan o długi u nich zaciągnięte nie pozywali przed sąd miejski. Działo się to dotychczas na podstawie, że włościanin, zaciągając dług, zarazem co się tyczy tego długu na wypadek sporu, poddawał się jurysdykcyi miejskiej. Unieważniając takie zastrzeżenia, ograniczano wolność osobistą włościan i ścieśniano nad nimi jurysdykcyą pańską.

Tę samą zasadę przeprowadza konstytucya z r. 1501 w art. 22, już co się tyczy starostów, którzy jako sędziowie karni, pociągali przed siebie kmieci za przestępstwa. Teraz zakazano starostom pozywać kmieci przed siebie, nakazując im, ażeby *pro iniuria* pozywali ich przed sąd ich pana.

Nie był to jeszcze zakaz pozywania pana przed sąd publiczny przez włościanina, i zakazu tego nie znajdujemy w ówczesnem ustawodawstwie. Wyręczyła je praktyka sądowa. Dnia 30 sierpnia 1518 r. stanęły przed sądem królewskim assesorskim w Krakowie dwie strony. Skarżył poddany swego pana o przynaglanie go do robocizny i o gwałty. Sąd oddalił ze skargą poddanego, motywując wyrok tem, „ażeby poddani swoich panów nie pozywali przed króla“.

Lakoniczna ta zasada, wypowiedziana w tym a zapewne i w innych podobnych wyrokach najwyższego sądu, przeszła w prawo zwyczajne, które stało na równi z ustawodawstwem.

Zasada ta, gdy się raz powszechnie przyjęła, uczyniła zbytecznem dalsze rozwijanie ustawodawstwa o poddaństwie i o ciężarach poddańczych kmieci. Odejmując im prawo skargi na pana, oddawało się panom nad poddanymi nietylko wyłączne sądownictwo, ale zarazem wyłączne prawodawstwo.

Od pana wyłącznie zależało, czy i kiedy chce uwolnić poddanego z poddaństwa, ażeby się przeniósł do miasta lub gdzieindziej przesiedlił. Od pana zależało, jakie ciężary poddańcze, czynsze lub robocizny poddanym nałoży i w jakim wymiarze. O krzywdy, rany lub zabójstwo, włościanin lub jego rodzina, nie mogli skarżyć swego pana.

W ten sposób przyjąć możemy, że poddaństwo ludu wiejskiego stało się prawem, z wykluczeniem jakiejkolwiek ingerencyi władzy publicznej. Władza ustawodawcza państwa spoczywała w ręku panów, niebezpieczeństwo tej ingerencyi wykluczonem było tak dalece, że nikt za Zygmuntów nie myślał o ustawodawczem zabezpieczeniu zasady poddaństwa.

Przyszło do tego dopiero w r. 1573, przez

następujące postanowienie, t. zw. „konfederacyi *inter dissidentes*".

„Wszakże przez tę konfederacyę naszą, zwierzchności żadnej nad poddanymi ich tak panów duchownych jako i świeckich nie derogujemy i posłuszeństwa żadnego poddanych przeciwko panom ich nie psujemy i owszem, jeśliby takowa licencya gdzie była *sub praetextu religionis*, tedy jako zawsze było, będzie wolno i teraz każdemu panu poddanego swego nieposłusznego *tam in spiritualibus, quam in saecularibus*, podług rozumienia swojego skarać".

Czytając uważnie to postanowienie, nie potrzebujemy odgadywać pobudki, która je wywołała. W chwili, w której rząd w Polsce runął a „złota wolność" na jego miejscu stanęła, w tej chwili szlachta, bezpieczna dotychczas o władzę swą nad poddanymi, poczuła instynktownie obawę, że duch tej wolności a zarazem swawoli, którego panowanie ogłaszało się u góry, zacznie przenikać i przesiąkać niżej pod pretekstem swobody wyznania. Wypadło się zabezpieczyć i w ustawie kardynalnej stanowczą temu położyć zaporę. W ten sposób proklamowano władzę prawodawczą panów, przyznając im moc karania poddanych nieposłusznych tylko podług rozumienia swego.

Okoliczności sprawiły, że władza panów przybrała w ustawie tej najostrzejszy wyraz. Prawo karania przyznano panom *tam in spiritualibus, quam in saecularibus*. Niektórzy, jak Noailles, dowodzą, że tu należy się dorozumieć słowa *bonis* t. j. tak w dobrach duchownych, jako też świeckich, nie zaś w sprawach duchownych czy świeckich. Ale jeśli słowo *bonis* dodamy, to i tak ten ostatni wniosek wyprowadzimy z pierwszego ustępu ustawy. Pan karać ma prawo „jeśliby takowa (przeciw panom) licencya gdzie była *sub praetextu religionis*" t. j. gdyby poddany różnił się od pana wyznaniem, a pan w tem licencyą i nieposłuszeństwo upatrywał. Ustawa przyznała więc panom prawo dyktowania religii poddanym w imię zasady: *cuius regio, illius religio*, którą jednak gdzieindziej stosowano tylko do panujących. Inna rzecz, czy szlachta polska z tego prawa, które sobie przyznała, zrobiła użytek.

Uważne zestawienie konstytucyi sejmowych XVI. wieku doprowadza zatem do następujących spostrzeżeń:

1) Zaprowadzenie poddaństwa ludu wiejskiego nie nastąpiło jednym aktem prawodawczym w sposób peremptoryczny, lecz rozwinęło się powoli przez cały szereg postanowień od r. 1496 aż do r. 1573, potrzebowało zatem niemal całego stulecia.

2) Nie sformułowało się ono podówczas jako szereg ściśle określonych, na cały lud wieśniaczy rozciągniętych i nałożonych ciężarów, lecz ostatecznie streściło się w tem, że każdy właściciel dóbr otrzymał władzę prawodawczą i możność określenia ciężarów tych poddańczych według swej woli, interesu i sumienia.

(Ciąg dalszy nastąpi).

KASZUBY.

Zarówno granice obecnego rozsiedlenia ludności kaszubskiej, jak niemniej liczba osób, posługujących się mową kaszubską, jako swoją ojczystą, nie były dotąd dokładnie znane. Wszelkie obliczenia w tym względzie opierały się wyłącznie na skombinowaniu cytr, wykazywanych przez urzędowe spisy ludności, przy których zresztą ludności kaszubskiej dawniej nigdy osobno nie uwzględniano, z cyframi, których dostarczała bądź to statystyka szkolna, bądź też kościelna lub wyborcza. Nadto obliczenia te miały na względzie tylko całe powiaty: w szczegóły, odnoszące się do pojedynczych miejscowości, nie wdawano się wcale. Skutkiem tego granice osiadłości ludu kaszubskiego nie mogły być należycie wytyczone, a liczba Kaszubów podawana była rozmaicie. Wahała się ona zwykle między cyframi sześćdziesięciu a dwustu tysięcy; w pewnej zaś książce niemieckiej ustalono ją na trzy tysiące.

Ten brak szczegółowych wiadomości, a jeszcze więcej niedokładność i niezgodność między sobą dotychczasowych obliczeń, skłoniły znanego specyalistę *Stefana Ramułta* do podjęcia poszukiwań samodzielnych, których wyniki ogłosił w Sprawozdaniach Akademii Umiejętności.

Dokonał spisu ludności kaszubskiej na własną rękę, gdyż spis urzędowy z dnia 1 grudnia 1890 roku, który miał także uwzględnić osobno po raz pierwszy ludność mówiącą po kaszubsku, chybił swego celu najzupełniej. Okazało się, jak rażąco sprzeczne są daty spisu urzędowego z rzeczywistym stanem rzeczy. Wystarczy np. wymienić powiat człuchowski, ażeby przyjść do przekonania, że spis ten dokonany został na podstawie jakiegoś olbrzymiego nieporozumienia w zakresie pojęć o języku ojczystym ludności. Oto bowiem w wymienionym powiecie naliczono tylko 1109 Kaszubów. a 7605



Ruiny cerkwi Bohojawleńskiej w Ostrogu na Wołyniu.



Ruiny cerkwi Bohojawleńskiej w Ostrogu na Wołyniu.

Polaków, podczas gdy w rzeczywistości ludność kaszubska dochodzi tam do 12.000 głów, a osób, mówiących po polsku, jest zaledwie kilkadziesiąt. Podobnie rzecz się ma z innymi powiatami, z tą jedynie różnicą, że ludność ich kaszubską zapisano przeważnie do rubryki języka niemieckiego, jak np. w powiecie słupskim, gdzie spis urzędowy wykazuje tylko 432 nie-Niemców, mianowicie 7 (siedmiu!) Kaszubów, 309 Polaków i 116 dwujęzycznych, jakkolwiek samych ewangielików kaszubskich (Kabatków i Słowieńców) jest tam jeszcze do 4000 dusz.

W ogóle przy spisie urzędowym w dniu 1 grudnia 1890 r., naliczono w obrębie całej monarchii pruskiej zaledwie 54.433 Kaszubów, tudzież 2213 osób, które obok kaszubskiej podały także mowę niemiecką, jako swoją ojczystą. A ponieważ liczba ludności kaszubskiej w Prusiech, lekko licząc, wynosi przynajmniej trzy razy tyle, więc dla znających stosunki miejscowe było aż nadto widoczne, że przeważną część Kaszubów wpisano bądź to do rubryki języka polskiego bądź też niemieckiego.

P. Ramułt ułożył „Statystykę ludności kaszubskiej“, która ma na oku dwa cele. Jednym z nich jest wykazanie siły liczebnej, drugim wytknięcie granic osiadłości ludu kaszubskiego. Aby osiągnąć te cele, starał się nagromadzić jak najwiękrzą ilość potrzebnych szczegółów, a więc dat statystychnych, odnoszących się do ludności każdej z osobna osady, położonej na t. zw. Kaszubach, a nadto zebrać wszelkie możliwe dane o ludności kaszubskiej, mieszkającej w rozproszeniu poza granicami Kaszub.

Siedziby dawnych Słowian nadbałtyckich czyli Pomorzan rozciągały się niegdyś od Noteci i Warty po Bałtyk, od dolnej Wisły aż za Łabę na Zachodzie i po Ejderę na północy. Ich potomkami są dzisiejsi Kaszubi, Kabatkowie i Słowieńcy, którzy utrzymali się jeszcze w północnej i zachodniej części Prus zachodnich, tudzież w północno-wschodnich kresach teraźniejszej prowincyi pomorskiej. Dla krótkości nazywa się ich Kaszubami, wszyscy oni bowiem mówią z małemi odmianami tym samym językiem, odczuwają swą łączność szczepową i powszechnie za jeden lud są uważani. Prócz wyżej wymienionych mieszkają nadto w Prusiech zachodnich, na południe i wschód od Kaszubów, ludy pomorskie: Kociewiacy, Borowiacy i Krajniacy, na poły lub zupełnie już dziś spolszczone, mające i w mowie swojej i obyczajach wiele wspólnego z Kaszubami. To samo można powiedzieć także o mieszkańcach ziemi Malborskiej i przyległych części Prus niegdyś książęcych, szedł bowiem tamtędy prąd kolonizacyjny z Pomorza, na co zwrócił uwagę już dr Wojciech Kętrzyński (O narodowości polskiej w Prusiech zachodnich za czasów krzyżackich). Ślady podbojów czy osadnictwa pomorskiego odszukać się zresztą dadzą i dalej na południu, nietylko w nazwach miejscowych (Płock, Czersk, Czerwińsk, Warszawa i t. d.), ale i w żywych gwarach ludu tamtejszego (np. w Mławskiem rozgard [tak częsty na Kaszubach!] zam. rozgród i t. p.).

Opierając się na zebranym przez siebie materyale statystycznym, skreślił p. Ramułt granice obecnego rozsiedlenia ludności kaszubskiej, czyniąc smutną uwagę, że dzisiejsza ojczyzna Kaszubów, gdy się patrzy na mapę etnograficzną, robi wrażenie strzępu... Z rozległej krainy dawnych Pomorzan, obejmującej do dwóch tysięcy mil kwadratowych, pozostał ich potomkom niewielki tylko szmat ziemi, którego obszar trudno nawet oznaczyć dokładnie z powodu, że w wielu okolicach Kaszub ludność kaszubska stanowi tylko znikomą mniejszość, oddzielne zaś jej odłamy (jak np. koło Łeby na Pomorzu, lub na południu poza Chojnicami) znajdują się już poza granicami więcej zwartego osiedlenia ludu kaszubskiego. W okrągłych cyfrach rzecz przedstawiając, można ostatecznie oznaczyć rozległość obszaru, na którym ludność kaszubska mieszka choćby w małych procentach, na 200 mil kwadratowych, z czego jednak około 100 przypada na okolice, zamieszkałe przez ludność, przeważnie już niemiecką lub zniemczoną.

Kaszubi są ludem prawdziwie pomorskim i spory stosunkowo kawał wybrzeża morskiego, dziś jeszcze do nich przynależy. Za „brzeg kaszubski“ uważać można całą krawędź nadmorską od Nowego Portu *(Neufahrwasser),* t. j. od ujścia Wisły, aż do wioski Rowek *(Klein Rowe),* położonej nad ujściem rzeki Lupy z jeziora Gardeńskiego do morza. Jednak na linii tej nie same tylko osady kaszubskie przypierają do Bałtyku, gdyż od Białej góry *(Wittenberg)* począwszy, aż do miasteczka Łeby ludność jest już zniemczona i Kaszubi znajdują się tam tylko w rozprószeniu, podobnie jak w Rowku i Nowym Porcie.

Te dwie na ostatku wymienione miejscowości są skrajnymi punktami osiadłości kaszubskiej na zachodzie i wschodzie. Najdalej na północ wysuniętą osadą kaszubską są Tupadły (kasz. Tepadłé, niem. Tupadel) w powiecie puckim, najdalej na południe folwarki Blumfeld i Melanowo w powiecie chojnickim, o ile w sąsiednim, dalej jeszcze na południe położonym powiecie Wołowskim (Flatow), dokąd dotychczasowe poszukiwania autora już nie sięgają, nie znajduje się żadna osada kaszubska.

Powiaty, w których ludność kaszubska utrzymała się do dzisiaj, są następujące:

a) W Prusiech zachodnich: 1) pucki, 2) wejherowski, 3) gdański górski *(Danziger Höhe),* 4) gdań-

ski miejski *(Stadtkreis)*, 5) kartuski, 6) kościerski *(Berent)*, 7) chojnicki, 8) człuchowski,

b) na Pomorzu: 9) lęborski, 10) bytowski, 11) słupski *(Stolpe)*.

Dzieląc krainę kaszubską utartym zwyczajem na Kaszuby północne i Kaszuby południowe, zaliczyć wypada do pierwszych powiaty: pucki, wejherowski, gdański górski, gdański miejski i północno-wschodnią część kartuskiego z Prus zachodnich, a lęborski i słupski z Pomorza; do drugich zaś kościerski, chojnicki, człuchowski i południowo-zachodnią część kartuskiego z Prus, a bytowski z prowincyi pomorskiej. Na Kaszuby północne przypada około 100.000 Kaszubów, na południowe 70.000.

Znaczna liczba Kaszubów przebywa poza granicami właściwych Kaszub. Są oni rozproszeni nietylko po innych powiatach Pomorza i Prus zachodnich, ale wogóle po wszystkich prowincyach monarchii pruskiej i po innych krajach cesarstwa niemieckiego a nawet w Danii. Przyczyną tego jest fakt, że znaczną część ludności kaszubskiej stanowi lud bezrolny, który ostatecznie pracę może znaleźć i na Kaszubach, ale lepszy zarobek znajduje w głębi Niemiec. Co roku tedy odbywa się na wiosnę wędrówka ludu kaszubskiego na zachód, co jesieni powrót w rodzinne strony. Jest to tak zwane o b i e ż y s a s t w o. Przeważna część o b i e ż y s a s ó w wraca wprawdzie do kraju, pewien procent jednak pozostaje na obczyźnie, tam się żeni i osiedla; a ponieważ ten odpływ i przypływ ludności powtarza się co roku od dłuższego już czasu, doszło do tego, że liczba Kaszubów w zachodnich i środkowych prowincyach Niemiec przewyższa już niewątpliwie cyfrę 10.000.

Największe szczerby w szeregach kaszubskich poczyniła emigracya do Ameryki. Gorączka emigracyjna srożyła się swego czasu na Kaszubach z taką gwałtownością, że dziś liczą Kaszubów w Stanach Zjednoczonych do 60.000. Obecnie prąd ten ustał niemal zupełnie, a jego miejsce zajęło wspomniane wyżej obieżysastwo.

Przeważna część Kaszubów należy do kościoła katolickiego. Parafie kaszubskie tworzą część dyecezyi chełmińskiej, z wyjątkiem parafii słupskiej, która należy do dyecezyi wrocławskiej. Parafij, w których ludność kaszubska stanowi przeważającą większość, jest 45, takich zaś, gdzie znajduje się w mniejszości, 26, nie licząc tych parafij, w których Kaszubi żyją tylko w rozproszeniu.

Mniej więcej piętnasta część, t. j. około 7% ogółu ludności kaszubskiej należy do kościoła ewangielickiego. Ewangielicy kaszubscy znajdują się głównie na Pomorzu w okolicy jeziora Łebskiego i Gardeńskiego. Są to Kabatkowie i Słowieńcy. Atoli Kaszubi wyznania ewangielickiego nie są zbyt rzadkiem zjawiskiem także i w innych stronach prowincyi pomorskiej, a nawet w Prusiech zachodnich. Gdy jest mowa o ewangielikach kaszubskich, ma się zwykle na myśli tylko Kabatków, a nie widzi się tych, którzy żyją tuż obok, bo częstokroć w tej samej osadzie. Zasada: „co luter, to Niemiec“ jest nietylko mylną, ale i szkodliwą, odtrąca bowiem najmniej kilkutysięczną (w samych Prusiech zachodnich) grupę ludzi od pnia macierzystego, nieraz może wbrew woli i przekonaniu odnośnych jednostek.

Dla tych, którzy wszystkich „lutrów“ przywykli uważać za Niemców, będzie zapewne prawdziwą niespodzianką wiadomość, że nawet statystyka urzędowa wykazuje na samych tylko Kaszubach zachodnio-pruskich 486 ewangielików kaszubskich, gdy zaś na całem Pomorzu naliczono ich (razem już z dwujęzycznymi) tylko 61, a w rzeczywistości jest ich tam sto razy tyle, można sobie wyobrazić, ile ich się znajduje naprawdę w Prusiech zachodnich.

Oto kilka ciekawszych dat, których dostarczył urzędowy spis ludności z dnia 1 grudnia 1890 r.

Bolszewo (powiat wejherowski): ewangielików 333, w tem Kaszubów 66 czyli 20%.

Pomiecin (powiat kartuski): ewangielików 42, w tem Kaszubów 20 czyli 48%.

Zycowa huta (powiat kościerski): ewangielików 36, w tem Kaszubów 23 czyli 64%.

Czernica (powiat hojnicki): ewangielików 35, w tem Kaszubów 23 czyli 66%.

Zgorzałe *(Seedorf*, pow. kartuski): ewangielików 86, w tem Kaszubów 85 czyli 99%.

Windorp (pow. chojnicki): ewangielików 13, sami Kaszubi czyli 100%.

Są to wyłącznie cyfry urzędowe. Zasługują one na tem większą uwagę, że Kaszubi ewangielicy pozostają pod przeważnym wpływem niemieckim i że absolutnie nikt się nie starał o pouczenie ich, jaką mają podać *„Muttersprache“* przy spisie ludności. Słuchając w kościele słowa bożego po niemiecku i modląc się w tym języku, oplątani siecią stosunków z ludnością niemiecko-ewangielicką, żeniąc się z Niemkami i wychodząc za Niemców, gdy zresztą kościół, szkoła, wyższe warstwy społeczne, sąd, wszystkie urzędy, wojsko i całe życie publiczne jest niemieckie, — Kaszubi ci w przeważnej części przyznają się do narodowości niemieckiej i w myśl zasady: „co luter, to Niemiec“ za Niemców są uważani, chociażby z dziada pradziada byli Kaszubami i chociaż w kółku domowem używają mowy kaszubskiej. Świadczy to zatem o silnem poczuciu odrębności szczepowej u tych, nielicznych zresztą między nimi wyjątków, jeżeli, pomimo zaznaczonych wyżej stosunków, podali przy spisie urzędowym mowę kaszubską, jako swoją ojczystą.

Uwagi godną jest także rzeczą, że spis wspomniany wykazuje 703 Kaszubów ewangielików

w W. Księstwie poznańskiem, nadto 487 poza granicami Kaszub i wogóle Prus zachodnich, tudzież Pomorza, a nawet księstwa Poznańskiego. Już tedy te urzędowe cyfry, które nie są jeszcze bynajmniej wyrazem prawdziwego stanu rzeczy, powinnyby przekonać każdego, że, oprócz Kabatków i Słowieńców, których przywykło się uważać za wyłącznych przedstawicieli żywiołu kaszubsko-ewangielickiego, a których spis urzędowy naliczył w całym słupskim powiecie 4 (wyraźnie: czterech), — znajduje się wcale pokaźna liczba Kaszubów ewangielików, rozsianych po całym obszarze ziemi kaszubskiej, a nawet i za jej granicami. Faktu tego w dotychczasowych obliczeniach ludności kaszubskiej zupełnie nie brano w rachubę.

(Ciąg dalszy nastąpi).

NOWE PRZYGODY TWARDOWSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Na pokutę zadał nam zagadkę: „Czemu Cieszyn tak daleko od Krakowa?“ i dodał, że mamy w sam raz dobrą sposobność stwierdzić, że nietylko guziki mamy patryotyczne, ale też serca i głowy, a mianowicie obmyśleć sposób jaki, żeby Cieszyn do Krakowa przybliżyć, obmyśliwszy zaś, jąć się wykonania tego dzieła. — Przypomina to takie przygody z dawniejszego życia Mistrza, jak skręcenie bicza z piasku i konna podróż na malowanym rumaku. Nawrócił się jednak, a więc czartowskiej pomocy już niema; jakżeż Cieszyn tedy do Krakowa zbliży, zwłaszcza że obie te siedziby prastare sarmackie kwiatu i t. d. są fundamentalnie w ziemię wmurowane.

Wiadomo, że dla przypodobania się komuś, na kim zależy, gotów człowiek zrobić nawet głupstwo. Podobno jeden z dworzan Radziwiłła Panie Kochanku wybrał się w świat, żeby mu sprowadzić chińską królewnę, rzekomo dawną kochankę swego pana, za którą on tęsknił w Nieświeżu. Pojechał szlachcic na Wołyń do starej siostry, wyjadał jej przez pół roku śpiżarnię, wypłaszał w lesie zwierzynę i robił długi na sperandę nagrody od księcia pana, w lesie zaś kazał zrobić z cegieł ze starego rozwalonego lamusa coś w kształcie grobowca tatarskiego. Po pół roku sam sobie pokiereszował (ale bez przesady) sarmackie swe oblicze, wraca do Radziwiłła i dalejże mu opowiadać, jak porwana już przezeń chińska królewna, na Litwę wieziona, biedaczka w drodze do Nieświeża umarła na Wołyniu; chcąc przynajmniej ciału nieboszki wyprawić przystojny pogrzeb, dowiózł je do swej pani siostry i tam pochował: niech książę pan pojedzie przekonać się, jakie ładne mauzoleum stoi w lesie (nie można było na cmentarzu, bo niechrzczona), zadłużył się po uszy, by ten grobowiec wystawić i t. d. Gładko szlachcic opowiadał swoją klechdę, bo miał pół roku czasu do przygotowania się i tylko miał wątpliwości, czy książę od razu go nagrodzi, czy też do końca będzie obstawać przy żarcie i do siostry zajedzie. Panie Kochanku nie lubiał jednak, żeby ktoś drugi ruszał konceptem koło niego. Wysłuchał i rzecze:

— Panie bracie, niedobry z Waszeci sługa Radziwiłła. Powinieneśbył umrzeć z rozpaczy po chińskiej królewnie, a mnie biednemu testamentem majątek zapisać; ja zaś za to, Bóg świadkiem — gdyby nie to, że Waszeć kawaler — pamiętałbym o dzieciach Waszeci.

— Ożenię się, jeżeli taka wola księcia pana i umrę z wszelką pewnością.

— Idź do dyaska; furfantów mi tu nie potrzeba!

Stracił szlachcic służbę, a wygnany ze dworu rozpił się i zginął w nędzy.

Tę anegdotkę przypomnieliśmy umyślnie na pełnem posiedzeniu redakcyjnem, gdy się zabierano do roztrząsania zagadki Twardowskiego. Nie wiedzieć, jak to traktować, bo nuż w tym Cieszynie jest jaki chiński królewicz, a łaska pańska na pstrym koniu jeździ. Były głosy podzielone: kilku było tego zdania, żeby nie wdawać się w tę kwestyę bliżej, bo to widoczny żart. Geograf jednakże redakcyjny brał rzecz na seryo; niema się co dziwić, bo uczęszczał do szkół w Galicyi, geografii tedy wogóle mało się uczył i to więcej amerykańskiej, niż polskiej. Okazało się potem, że nie wiedział wcale, gdzie Cieszyn i myślał, że naprawdę bardzo daleko.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Dla braku miejsca rozpoczniemy artykuł o Ostrogu Wołyńskim dopiero w następnym numerze.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: **Dr. Feliks Koneczny.** — Druk W. L. Anczyca i Sp. w Krakowie.

